Robert Moore Williams

Następnym razem zginiemy

(The Next Time We Die)

Amazing Stories February 1957
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Kierując się naszymi ideałami, podróżujemy czasami do odległych miejsc. Walczymy o przegrane sprawy, poświęcając życie, ponieważ wierzymy, że to o co walczymy wydaje nam się tego warte. Ale czy na pewno mamy rację? Czy są one warte tego, żeby za nie zginąć? Być może. A potem, po raz kolejny, być może będziemy pewniejsi — Następnym Razem Zginiemy

Teraz, koło południa, kiedy słońce wisiało wysoko nad głową, a cienie kłębiły się bezradnie pod samymi nogami, zagrożenia stwarzane przez tę dziką pustynię, były całkowicie niewidoczne.

Dziewczyna, Nora Martin, powiedziała:

– Jest coś, czego nie rozumiem. Przede wszystkim, dlaczego byliśmy aż tacy głupi, żeby tutaj przylecieć. Mogliśmy zostać na Ziemi, mieć dom i dzieci. – Uświadamiając sobie, co przed chwilą powiedziała, pośpiesznie poprawiła się: – To znaczy, chodziło mi o to, że każde z nas mogłoby mieć dom i dzieci.

Pike McLean przesunął odrobinkę lufę Rangeleya, korygując jej ustawienie tak, by włoski krzyża celownika w wizjerze peryskopu, pokrywały dokładnie to miejsce, w którym spodziewał się, i miał nadzieję, że pokaże się kolejny tubylec. Spróbował usunąć piasek z oczu. Ponieważ jednak miał piasek na dłoniach, spowodowało to tylko, że do oczu dostało się jeszcze więcej drażniących drobinek. Jedyne czego pragnął, to przed śmiercią wciągnąć jeszcze głęboki, satysfakcjonujący wdech, gęstego, wilgotnego powietrza Ziemi.

– To tutejsze powietrze, nie dorównuje mu nawet do pięt – wymruczał pod nosem.

Dziewczyna spojrzała na niego ostro. Jej oczy były tak niebieskie, jak niebo na Ziemi w słoneczny dzień. Pył na nosie nadawał jej jeszcze bardziej ludzki wygląd. W tej chwili jednak, w jej oczach widać było gniew. W tyle, za gniewem stały nieotarte łzy.

– Czy słyszałeś, co do ciebie mówiłam? – powtórzyła.

McLean przesunął swoje długie ciało, tak żeby leżeć nieco niżej w zagłębieniu w piasku.

– Jak mi się wydaje, przyleciałaś tutaj, ponieważ jesteś archeologiem i zapłacono ci za badania ruin. Ja przyleciałem w to miejsce, ponieważ jestem włóczęgą, który powinien umieć zrobić wszystko, za co będą skłonni mu zapłacić. – Przerwał i usunął przeszkadzające mu ziarenko

piasku, z prawej powieki. – Śmierć, to przecież nie jest jakaś wielka sprawa – mówił dalej. – Czemu więc tak bardzo się nią przejmujesz? Kiedy już cię dopadnie, to nawet cię nie boli, tak to już jest.



– Mówisz tak, jakbyś już kiedyś umarł!

– No cóż, prawdę mówiąc tak właśnie było – odpowiedział jej zaskakująco. – Nawet setki razy. Od czasu kiedy wypełzliśmy z nor w błocie, wyrosły nam stopy i zostawiliśmy za sobą nasze skrzela, minęło naprawdę sporo czasu. Umieraliśmy od zawsze, to jest pewne. I prawdopodobnie będziemy również umierać jeszcze znacznie dłużej.

– Myślałam, że mówisz o reinkarnacji – powiedziała zdumionym głosem archeolog.

– O tym właśnie mówiłem – potwierdził awanturnik. – To tylko inne podejścia i aspekty, tego samego problemu. Reinkarnujemy w celu zajęcia miejsca następnego elementu w łamigłówce ewolucji. Pewnego dnia ułożymy ją do końca! Wtedy przeniesiemy nasze dziedzictwo, do najdalszych gwiazd, zamiast taplać się w tym nędznym bajorze dla kaczek, jakim jest układ słoneczny.

– Zabrzmiało to, jakbyś był bardzo pewny siebie. Jakie dowody na…

– Tak jest zapisane – odparł McLean. – Jesteśmy przecież *homo sapiens*. A to coś w końcu znaczy. Błotniste pochodzenie nas nie powstrzyma. Wypełzliśmy z mułu i wyruszyliśmy na ląd, w lasy, a potem opanowaliśmy całą planetę. Bomba atomowa nie powstrzymała nas na długo, nawet kiedy zaczęliśmy używać jej przeciwko sobie. Gdzie w tym całym kosmosie… – jego ręka zatoczyła łuk w górze, zakreślając cały ten ogromny bezmiar gwiazd, tutaj, na tej planecie świecących przyćmionym światłem, nawet w samo południe – …znajdzie się coś, co mogłoby nas powstrzymać, skoro zawsze możemy się cofnąć, żeby podjąć kolejne uderzenie na napotkany problem? Każdy problem, nieistotne czego on dotyczy, może zostać rozwiązany, jeżeli będziemy nad nim dostatecznie długo pracować! – Po tych słowach początkowy entuzjazm, wyczuwalny w jego głosie, nagle zniknął. Opuścił wskazującą niebo dłoń na dół. Brakowało w niej dwóch palców,

McLean wpatrywał się przez chwilę, w sączącą się krew i plazmę, a potem zacisnął wargi, żeby nie okazać bólu.

– Ten cholerny promień punktowy, może bez trudu wyciąć dowolny kawałek człowieka – stwierdził.

– Och, Pike, jak mogłeś być tak lekkomyślny!

Ściągnęła z tyłu plecak i otworzyła go. Bardzo uważając, aby nie wystawić nawet skrawka głowy ponad krawędź zagłębienia, rozpakowała zestaw pierwszej pomocy i opatrzyła mu kikuty dwóch palców, przy

pomocy środków antyseptycznych i bandaży. Najpierw go jeszcze zbeształa, a potem pocieszyła.

– Wychodzi ci to naprawdę dobrze – stwierdził z aprobatą. – Powinnaś być mamuśką, a nie archeologiem i prowadzać za sobą całe stadko dzieci, tak byś mogła bandażować im wszystkie zadrapania i tulić je przy każdym stłuczeniu.

W jej błękitnych oczach wezbrała tęsknota, równie głęboka jak morza Ziemi.

– Tego… tego zawsze pragnęłam. Ale życie wepchnęło mnie w tory zawodowe. – Tęsknota utonęła w mgiełce nagłych łez.

McLean jeszcze mocniej zacisnął usta. Jednym okiem nieustannie spoglądał przez wizjer Rangeleya, teraz przystosowany do funkcji peryskopu. Ponure czerwone piaski, pozornie równe i wolne od wszelkich niebezpieczeństw, ciągnęły się aż do położonych na horyzoncie niskich gór. Powietrze było takie czyste i tak bardzo rzadkie, że mógł nawet dojrzeć ruiny miasta, będącego ich miejscem przeznaczenia, kiedy opuścili statek. Miasto było potężną masą skłębionych, poprzewracanych murów, rozrzuconych na pozbawionych drzew, zapomnianych przez świat wzgórzach. Na piasku nie było widać żadnego ruchu. A jednak, tam przed nimi, czaiła się śmierć, i z pewnością to tylko jego oko nie potrafiło jej dostrzec.

– Nasze milutkie małe pustynne liski, siedzą wszystkie w swoich milutkich małych norkach – powiedział do niej.

Dziewczyna z wysiłkiem zmusiła się do bladego uśmiechu.

– A jak tam mają się twoje palce? To znaczy, czy mocno cię bolą?

– Czują się tak jakby ich nie było. – Uśmiechając się ze swojego własnego żartu, McLean przejechał dookoła wizjerem Rangeleya, kierując go w stronę ich pustynnego łazika. Jego przerośnięte opony wznosiły się jak olbrzymie gumowe pączki, wyrastające w tajemniczy sposób z pustynnego piasku. Drzwiczki samochodu zapraszająco stały otworem.

– To tylko jedna czwarta mili – stwierdził. – Na tę odległość moglibyśmy dobiec sprintem. Ale jak można biegać bez nóg?

– Ale przecież my mamy nogi – niecierpliwie powiedziała dziewczyna. – Spróbujmy dostać się do samochodu.

– Jeżeli wyskoczymy z tej dziury i zaczniemy biec, to zaraz ich nie będziemy mieli. Małe liski mają ostre zęby.

– Och. – Jej głos przycichł, a kolory z oczu zniknęły. – A więc, co teraz zrobimy?

– Zostaniemy tutaj i będziemy mieli nadzieję, że ze statku wyślą za nami na poszukiwania, kolejny samochód pustynny. Jeżeli nie wrócimy w jakimś rozsądnym czasie, powinni zacząć się o nas martwić.

– A co, jeżeli nie przyjadą?

– Spróbujemy przechytrzyć pustynne liski.

– Gdybyśmy mieli radio…

– Mamy, ale jest w naszym łaziku. A gdybyśmy w nim siedzieli, to nie potrzebowalibyśmy radia. Dur-stalowy kadłub samochodu, wytrzymuje trafienia z laserów punktowych. Jak to się u diabła stało, że dzikie plemiona, nie mające żadnego przemysłu, ani wiedzy naukowej, żyjące tutaj, na tej pustyni, mają taką broń jak punktowe strzelby laserowe?

– Kiedy budowali tutaj to miasto, nie byli żyjącymi w plemionach pustynnymi dzikusami – wyjaśniła mu dziewczyna. – Dokądś wtedy wywędrowali, mieli wiedzę naukową i co najmniej przemysł lekki. Do tego fachowych robotników. Kiedy przybyli z powrotem tutaj, na pustynię, pozostawili za sobą wszystko, poza swoją bronią. Prymitywne ludy, ze wszystkich rzeczy, zawsze wybiorą broń. Będą ją cenić, jak własne życie, ponieważ ona tym właśnie jest.

– A dlaczego wrócili na pustynię?

– To jedna z kwestii, jakich spodziewaliśmy się dowiedzieć w ich zniszczonym mieście. – Głos dziewczyny przybrał cierpliwy ton eksperta, wyjaśniającego podstawowe fakty amatorowi. – Powodem mogła być choćby wojna z sąsiednim plemieniem, w której ponieśli klęskę. Innym istotnym czynnikiem mogła być zmiana klimatu. Być może były również inne powody: głód, zaraza. Wyruszyli stąd, a potem powrócili. To zdarza się tak często, że wydaje mi się, iż ziarna rozkładu niemal zawsze wyrastają w tym samym czasie, co ziarna wielkości.

– Żałuję, że nie zostałem archeologiem albo filozofem, i nie jestem w stanie zrozumieć tych wszystkich rzeczy – wyznał McLean, z tęsknotą w głosie.

– Jesteś człowiekiem, a to dużo ważniejsze.

– Czy chodziło ci o *mężczyznę*?

– Nie. O człowieka. C-z-ł-o-w-i-e-k-a. – Przeliterowała dla niego to słowo. – Człowieka. Istotę, która osiągnęła najwyższy poziom rozwoju życia na Ziemi, jak na razie. A także w Układzie Słonecznym, o ile nam przynajmniej wiadomo.

– Och, chodzi ci o króla stworzenia – odparł McLean. – Pewnie, my to wiemy. Ale nasze małe pustynne liski, kryjące się w swoich miłych małych norkach, najwyraźniej o tym nie wiedzą. Oni nie uważają, że fakt bycia człowiekiem zbyt wiele znaczy. – Kiedy to mówił, przez powietrze nad jego głową, mignęła cieniutka iskierka światła. Wydawało mu się, że temu śmiertelnie niebezpiecznemu promieniowi towarzyszyło głośne skwierczenie, podobne do szumu zakłóceń w kosmosie. – Widzisz! To właśnie za to, oni nas uważają! Za cele!

Dziewczyna wcisnęła się głębiej. McLean poradził jej tylko, żeby nie była egzaltowaną panienką i zwrócił całą swoją uwagę na wizjer Rangeleya. W zasięgu wzroku nie udało mu się dostrzec zupełnie niczego. Nie było to zresztą dla niego specjalnym zaskoczeniem. Nie spodziewał się, że zobaczy cokolwiek, poza piaskiem.

– Założyłbym się, że patrzę prosto na dwóch, czy trzech z tych diabłów, i w ogóle ich nie widzę – gderał.

– Oni są mistrzami w maskowaniu ochronnym – powiedziała dziewczyna. – Daj mi popatrzeć.

Przyłożyła oko do okularu Rangeleya, poruszając nim na stelażu, tak że przejechał po całym obszar piasków.

– Tam jest jeden! – zawołała, z nagłym podekscytowaniem w głosie.

– Gdzie? – zaczął dopytywać się McLean, odpychając ją na bok i przyciskając oko do obiektywu.

– Dokładnie tam, gdzie scentrowałam celownik. Nie widzisz tego lekkiego wybrzuszenia? Dokładnie tam. – Już zaczęła podnosić się, żeby pokazać ręką.

McLean szarpnął ją do tyłu i przycisnął jej głowę do piasku.

– Nie podniecaj się tak bardzo, bo zaraz staniesz wyprostowana – warknął na nią. W powietrzu tuż nad ich głowami zaiskrzyło przelatujące światełko.

– Zapomniałam się – odpowiedziała mu cicho dziewczyna. – Puść już moją głowę. Napchałeś mi pełno piasku do nosa i ust.

– Tu, w kosmosie, można zapomnieć się tylko raz – powiedział jej McLean, puszczając ją. Nadal niczego nie widzę – dodał, spoglądając w wizjer. Naparła na jego ramię, a on odsunął się na bok.

Znów przyjrzała się znajdującemu się przed nimi terenowi. Wykonała kilka korekt celownika i szybko nacisnęła spust. Rangeley tylko delikatnie pyknął –– to była broń pneumatyczna –– a potem na pustyni, w miejscach gdzie uderzyły eksplodujące pociski, rozległy się trzy szybkie wybuchy. Towarzyszył im dziki wrzask. McLean przyłożył oko do wizjera, akurat na czas, by zobaczyć jak w odległości pięćdziesięciu stóp od nich szaleńczo zwija się tubylec. Trafiony wykonał jeszcze ostatni obrót i zamarł, zmieniając się w kłąb martwych szmat.

– Dostałaś go! – tryumfalnie zawołał McLean.

– Ja… ja go…? Och, przepraszam… ja chciałam… – Jej głos ucichł, zduszony zgrozą.

Szybko na nią popatrzył. Oczy dziewczyny wypełniały łzy.

– Ja naprawdę nie chciałam tego zrobić – wybeczała.

– Skończ już z tym przeklętym miauczeniem – rozkazał jej. – To jest wojna. Fakt, że w tę wojnę zaangażowani jesteśmy tylko ty, ja i jacyś dzicy marsjańscy Indianie, nie powoduje, że staje się ona mniej śmiertelna od innych. Jeżeli my nie dostaniemy ich, to oni dostaną nas. – Uniósł do góry swoją zabandażowaną dłoń. – Czy może myślisz, że ten tubylec, który to zrobił, polował na moje palce? Oczywiście, że nie! To czego chciał, to moja głowa!

– Już dobrze, dobrze. Rozumiem to intelektualnie, to po prostu dochodzą do głosu moje emocje.

– To weź je i odsuń od głosu – stwierdził. – W jaki sposób udało ci się dostrzec tego Marsjanina, a ja nic nie widziałem?

– Prawdopodobnie lepsza zdolność rozróżniania kolorów – odpowiedziała dziewczyna. Kobiety zwykle lepiej dostrzegają kolory niż mężczyźni. To właśnie w taki sposób go zauważyłam.

– No to weź i jeszcze trochę porozróżniaj te kolory – gestem ręki, zaprosił ją z powrotem do celownika Rangeleya. – Być może, na Boga, pomimo wszystko uda nam się wydostać stąd żywcem! – W jego głosie pojawiła się nadzieja. – Jeżeli to zrobimy, to…

– Jeżeli to zrobimy, to co? – spytała go dziewczyna.

Pokręcił przecząco głową.

– Jeżeli się stąd wydostaniemy, i tak nie mógłbym ci tego powiedzieć. Nie byłoby więc sensu o tym mówić. Ale w przypadku, gdyby nam się nie udało, to chciałbym, żebyś wiedziała, że jesteś naprawdę bardzo fajnym dzieciakiem.

– No cóż… dzięki. – Jej oczy znowu zrobiły się błękitne, jak niebo na Ziemi. Przysunęła się do niego.

– Hej, dlaczego to zrobiłaś?

– Po prostu odruch. Zawsze całuję mężczyzn, którzy mówią mi, że jestem fajnym dzieciakiem.

– Fajny dzieciak, fajny dzieciak, fajny dzieciak – natychmiast powiedział McLean.

– Jesteś zbyt szybki.

Rumieniec na jej policzkach, widoczny był nawet spod piasku. Pośpiesznie przyłożyła oko do celownika Rangeleya. McLean westchnął. Nigdy wcześniej nie miał dziewczyny. Wydało mu się, że los płata mu okrutny żart, dając mu ją w takich warunkach, kiedy siedzą w dziurze w piasku, otoczeni przez marsjańskich tubylców. Jeszcze raz ocenił w myślach odległość dzielącą ich od pustynnego łazika, rozważając szanse podjęcia tej eskapady i pozostania przy życiu. Pokręcił właśnie głową, nad swoimi ocenami, kiedy Rangeley ponownie pyknął.

– Spudłowałam! – zawołała dziewczyna. Och! On biegnie tutaj!

Mc Lean odsunął ją od celownika. Marsjanin biegł w ich stronę, w szybkim tempie. Zamiast strzelby, trzymał w ręku włócznię.

– Nie spudłowałaś – pośpiesznie wyjaśnił jej awanturnik. – Trafiłaś go, ale tylko zraniłaś. To jest szarża śmierci.

Nacisnął spust Rangeleya. Karabin pyknął dwa razy. Daleko przed nimi eksplodujące pociski wyrzuciły do góry niewielkie gejzery piasku. Tubylec jednak ciągle się zbliżał. W celowniku wyglądał już, jakby miał dziesięć stóp wysokości. Kiedy przeskakiwał Rangeleya, wydawało się, że jego wzrost jeszcze nagle się zwiększył. Wrzasnął, ile miał siły w płucach i rzucił się na dół, z włócznią.

McLean odepchnął od siebie dziewczynę, jednocześnie odtaczając się w przeciwnym kierunku. Pochwycił tylko przelotny obraz metalowego grotu włóczni wbijającego się w piasek, dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą leżał. McLean złapał ramionami nogi swojego przeciwnika i mocno

pociągnął. Marsjanin poleciał, dokładnie na niego. Człowiek zdołał jakoś odepchnąć go na bok.

Marsjanin zmienił się teraz w wijący się, szalejący, kąsający, drapiący, kopiący, dziki kłąb kościstych kolan i jeszcze bardziej kościstych łokci. Za każdym razem, kiedy te kościste stawy trafiały, to bolało. Tubylec miał zatknięty za pasem nóż, i właśnie usiłował go jakoś wyciągnąć. McLean, widząc nóż, próbował równie mocno przeszkodzić mu w jego wydobyciu.

Człowiek lewą ręką pochwycił za rękojeść noża. Prawą, wolną, pięścią uderzył w żołądek tubylca. Marsjanin chrząknął, otwierając usta i próbując ugryźć McLeana. Włóczęga, któremu ten rodzaj walki nie był obcy, uderzył go z byka w otwarte usta, czubkiem głowy, a potem ponownie walnął, z całej siły, prosto w żołądek. Poczuł, że jego pięść zanurza się w znajdującą się tam skórzastą tkankę.

Tubylec ponownie chrząknął i zawisł mu bezwładnie na ręku. McLean wyszarpnął nóż z pochwy swojego przeciwnika. Nie musiał go jednak używać. Przez ciało tubylca przebiegały serie drgawek, Marsjanin umierał. Wybuchowa kula z Rangeleya w końcu spełniła swoje zadanie. McLean z ulgą pozwolił ciału opaść na ziemię.

McLean otarł z twarzy pot i piasek.

– To była szarża śmierci, to prawda. Ale ty naprawdę nie chybiłaś. Zobacz… – Wskazał jej ręką, ranę na piersi Marsjanina.

Rangeley przestał pykać, a dziewczyna odsunęła oczy od przyrządów celowniczych i rozejrzała się dookoła. Spojrzała na Marsjanina i pośpiesznie odwróciła wzrok. Chwilę później już z powrotem przyłożyła oko do celownika. Rangeley ponownie zaczął pykać.

McLean nagle sobie uświadomił, że Rangeley pykał przez cały czas, kiedy on walczył z Marsjaninem.

Utrzymywała przedpole pod ostrzałem!

Było coś, co po prostu musiał powiedzieć tej archeolog. Poczekał, aż złapie oddech i będzie mógł to zrobić.

– Jesteś w porządku – powiedział jej w końcu. – Chodzi mi o to, że potrafiłaś użyć swojej głowy i zmusiłaś innych do siedzenia głęboko w dziurach, kiedy ja walczyłem z tym tutaj.

Błysnęła w jego stronę uśmiechem.

– Oni nie siedzą w dziurach. Oni uciekają – odparła z satysfakcją.

McLean ostrożnie wystawił głowę powyżej poziomu zagłębienia. Niemal na lufie Rangeleya znajdowały się zwłoki. Drugie leżały pięćdziesiąt stóp dalej. Trzecie widać było w odległości stu jardów.

Kiedy on walczył z marsjańskim berserkiem, pozostali zwietrzyli szansę do zmasowanego ataku.

– Dobra dziewczynka! Ocaliłaś nasze głowy. – Obserwował uciekających tubylców. Przy pomocy pocisków z Rangeleya, dziewczyna nieustannie wzbijała tuż koło ich nóg gejzery piasku.

– Cudownie! – odetchnął McLean. – Ale podnieś może troszeczkę celownik…

Rangeley raptownie umilkł. Spojrzał w stronę dziewczyny i zobaczył, że jej ramiona trzęsą się od płaczu.

– Wiem jak się teraz czujesz – pocieszył ją delikatnie. – Ale przecież musiałaś to zrobić, żeby uratować nasze głowy. No, dalej! Wracajmy do naszego samochodu, dopóki oni ciągle uciekają, i mamy na to szansę! – Zerwał się do działania.

Złożył szybko celownik i zarzucił na ramię Rangeleya oraz trójnóg na którym był zamontowany. Drugą ręką chwycił dziewczynę i ruszyli biegiem.

Dla obojga z nich, samochód zdawał się być niebem. Naprawdę nim był, a nawet czymś więcej. Tutaj, na tej pustyni, każde z nich znalazło w drugiej osobie coś, czego szukało przez całe swoje życie i wcześniej nie znalazło. Ta myśl dawała im poczucie niemal niebiańskiego szczęścia. McLean słyszał jak biegnąca u jego boku dziewczyna sapie ze zmęczenia, ale jednocześnie się śmieje. On również zaczął się śmiać, tak po prostu, z przepełniającego go szczęścia. Uścisnął jej rękę, a ona odpowiedziała mu również uściskiem.

Jego śmiech urwał się jednak nagle, kiedy zobaczył rurę strzelby laserowej, wystającą spoza tylnej opony ich samochodu pustynnego. Spoza broni wyglądało złowrogie oko przyczajonego Marsjanina.

– To pułapka – wysapał do dziewczyny. – Oni celowo uciekali, wiedząc że zaraz jak tylko się stąd wycofają, będziemy próbowali przebić się do naszego samochodu.

Zatrzymując się z poślizgiem, próbował jednocześnie ściągnąć Rangeleya z ramienia. Cienka igła lasera błysnęła w jego stronę. Kaszlnął i upadł na piasek.

Strzelba ponownie błysnęła, tym razem kierując swoje jasne oko na dziewczynę. Upadła, jak przewracająca się lalka.

McLean przekręcił się na jednym kolanie i jednej ręce. W piersi mężczyzny widniała dziura, niemal tak duża jak jego pięść. Nie czuł jednak absolutnie żadnego bólu. Wysoka energia promienia ze strzelby laserowej, przypaliła zakończenia nerwowe, tak że nie były one w stanie przenosić żadnych wrażeń czuciowych.

Człowiek potrząsnął pięścią w stronę kryjącego się pod samochodem tubylca.

– Tym razem nas dostaliście! – wykrzyczał. – Ale jeszcze tutaj wrócimy! Nie uda wam się nas powstrzymać. Dostaniemy was, nawet gdyby miało to trwać kolejny milion lat. – W jego głosie słychać było tę samą siłę, która kiedyś wydobyła homo sapiens z życia w błocie.

Myśli w głowie zaczęły mu lekko pływać. Wziął kolejny głęboki oddech. Leżąca koło niego dziewczyna nie odzywała się. Tylko jej oczy wskazywały na to, że wiedziała co się dzieje.

McLean popatrzył na nią. Było jeszcze coś, co bardzo chciałby powiedzieć. Jego myśli zachodziły mgłą i miał poważne trudności z odnajdowaniem odpowiednich słów.

– Następnym razem, chciałbym cię spotkać wcześniej – powiedział w końcu. – Chciałbym, aby wtedy udało nam się nie wyruszyć w tę podróż, zostać w domu i mieć gromadę… – Zakaszlał. – Całą gromadę dzieciaków – dokończył.

Dziewczyna nic mu nie odpowiedziała. Nie była już w stanie niczego powiedzieć. Ale zrozumiała go. Światło, które pojawiło się w jej oczach sprawiło, że wyglądały one tak pięknie i były tak pełne obietnic, jak niebo na Ziemi.

McLean spokojnie położył się na ziemi.

Wracający tubylcy zaczęli tańczyć swój taniec zwycięstwa, wokół dwójki leżących ludzi. Dokoła, jak okiem sięgnąć, rozciągały się gołe, niezmierzone piaski Marsa.

KONIEC